

DAMIAN LESZCZYŃSKI

Uniwersytet Wrocławski

### O „SPRAWIE SOKALA”, pseudonauce i nadużywaniu autorytetu

O tzw. „sprawie Sokala” było głośno pod koniec lat 90., kiedy to amerykański fizyk Alan Sokal opublikował w renomowanym piśmie "Social Text" artykuł zatytułowany *Transgresja granic: ku transformatywnej hermeneutyce kwantowej grawitacji*, będący parodią typowych tekstów postmodernistycznych<sup>1</sup>. Dowodził w nim, oczywiście dla artykułu, e z punktu widzenia współczesnych nauk ścisłych to, co przyjęli my uważa za rzeczywistość, jest jedynie pewną konstrukcją zależną od warunków społecznych. Tekst ten, pełen celowych przekłamań, niejasności i oczywistych nonsensów popartych cytatami z prac intelektualistów zaliczanych do postmodernistycznego panteonu, został entuzjastycznie przyjęty przez redaktorów pisma i bez żadnych zastrzeżeń opublikowany. Kiedy po jakimś czasie Sokal na łamach "Lingua Franca" ujawnił, że chodziło o prowokację (redaktorzy "Social Text" odmówili publikacji sprostowania), spotkał się ze skrajnie różnymi reakcjami. Jedni chwalili go za to, że miał odwagę zdemaskować pustki myślowe postmodernistycznych propozycji i ignorancję ich autorów, inni za to uważali, że po prostu nic nie zrozumiał z trudnych i głębokich tekstów i jest kolejnym „scjentystycznym pedantem, który poprawia błędy gramatyczne w listach miłosnych”<sup>2</sup>. Swoje uwagi na temat tej polemiki, a także dalsze argumenty zebrał Sokal wspólnie z belgijskim fizykiem Jeanem Bricmontem w książce *Modne bzdury*, której przekład niedawno ukazał się w języku polskim<sup>3</sup>. Mam nadzieję, aby raz jeszcze do „sprawy Sokala” powrócił, zastanawiając się nad kondycją współczesnej humanistyki, ze szczególnym uwzględnieniem tego jej nurtu, który ogólnie charakteryzuje się terminem „postmodernizm”.

**Co wynika z publikacji „Transgresji granic”?** Przede wszystkim trzeba zapytać, czego chciał dowieć Sokal swoją parodią i napisaną później wspólnie z Bricmontem książką<sup>4</sup>. Nie chodziło zapewne tylko o to, aby

<sup>1</sup> A. Sokal: *Transgressing the Boundaries: Towards a Transformative Hermeneutics of Quantum Gravity*. "Social Text", 46-47/1996, s. 217-252.

<sup>2</sup> Tak wyraził się R. Maggiori w artykule *Fumée sans feu*. "Liberation", 30.09.1997.

<sup>3</sup> A. Sokal, J. Bricmont: *Modne bzdury. O nadużywaniu pojęć z zakresu nauk ścisłych przez postmodernistycznych intelektualistów*, tłum. P. Amsterdamski. Warszawa 2004. Niemal wszystkie artykuły dotyczące „sprawy Sokala” można znaleźć na stronach internetowych: <http://www.physics.nyu.edu/faculty/sokal/> i <http://www.math.tohoku.ac.jp/~kuroki/Sokal/>.

<sup>4</sup> Abstrahując tu całkowicie od kierujących autorem celów politycznych, które są mi obce.

wykaza, że redaktorzy renomowanego naukowego pisma nie uważają publikowane przez siebie artykuły będą w ogóle ich nie czytają. Tego typu sytuacji zawsze można wytłumaczyć, twierdząc, że był to jedynie wypadek przy pracy, który jak demusi może przydarzyć. Po prostu w różnej wielkości ilości sensownych, powaźnych i nienaganny pod akademickim względem artykułów zapłacił sobie jeden nie spełniający tych kryteriów, a pech chciał, że była to akurat prowokacja.

Z jednej strony, takie wyjaśnienie można by przyjąć, z drugiej jednak, jeśli porównamy artykuł *Transgresja granic* z innymi „poważnymi” tekstami zamieszczonymi w tym samym numerze "Social Text", okaże się, i pod względem ilości dziwactw, niejasnych i słabo będą wcale nie uzasadnionych twierdzeń, znajdują się one mniej więcej na tym samym poziomie, przy czym styl Sokala jest bez porównania jaśniejszy niż sposób pisania parodiowanych przez autorów (jak sam zresztą stwierdza, z trudem przychodziło mu napisanie poprawnie gramatycznych zdań, które byłyby pozbawione jakiegokolwiek sensu). Wydaje się zatem, że gdyby redaktorzy "Social Text" potencjalnie mieli odrzucić artykuł Sokala jako nie spełniający kryteriów stawianych tekstom akademickim, musieliby w konsekwencji odrzucić pozostałe artykuły. Ponieważ tak nie zrobili, można wnioskować, że uczynili to nie wiadomo będą wiadome. W pierwszym wypadku oznaczałoby to, że brak im koniecznego w nauce krytycyzmu, a przy tym mają niewielkie pojęcie o tematach, którymi się zajmują, w związku z czym "Social Text" należy traktować podobnie, jak czasopismo w rodzaju "Nie z tej ziemi" będą różnymi fantastycznymi opowiadania ubrane w *quasi*-naukową formę (jak choćby księgi Ericha von Dänikena). W drugim wypadku sprawa jest poważniejsza, albowiem wiadome publikowanie tekstów pseudonaukowych (a więc zawierających ewidentne błędy i przekłamania) jako naukowych, wsparte autorytetem tytułów i instytucji naukowych, jest nie tylko zwykłym oszustwem, ale również szkodzi nauce w ogóle - a w tym wypadku naukom humanistycznym, które, będą my sprawiedliwi, nie ograniczają się do modnych interdyscyplinarnych kierunków wyznających postmodernistyczny dekalog.

Oczywiście kto może za w tym miejscu podania ściśle kryteriów naukowych i natychmiast dowiedzieć, że nie da się takowych jednoznacznie ustalić, co więcej, że zmieniają się one w trakcie dziejów i są odmienne w różnych dyscyplinach - pozostawmy jednak tego rodzaju metanaukowe dyskusje na boku. Rozpatrujemy bowiem problem nie od strony teorii nauki, ale od strony jej praktyki, a w tym wypadku nietrudno pokazać, że postmoderniści autorzy, niezależnie od rozmaitych deklaracji, pracując w ośrodkach akademickich, publikując teksty w wydawnictwach naukowych, wygłaszając referaty na konferencjach etc., uznają, choćby *implicite*, istnienie czegoś takiego jak potocznie rozumiana „nauka”, wraz ze specyficznymi dla

niej zachowaniami i regułami działania. I nawet je li deklaruje, ma ona ten sam status co magia czy religia, je li glosz, e nie istnieja w niej adne reguly, to, pomijaj c ju fakt, e zwykle sami si do jakich regul stosuj, przede wszystkim twierdzenia takie wypowiadaj w sposob kategoryczny z roszczeniem do prawdziwo ci, podpieraj c je autorytetem uczonych (czy raczej - mowi c ostro niej - pracowników naukowych). I nietrudno dostrzec, e w wypadku omawianych przez Sokala tekstow, w ktorzych arbitralne tezy cz sto nie s poparte adnymi racjonalnymi czy empirycznymi argumentami, owo odwołanie si do autorytetu uczonego okazuje si jedynym uzasadnieniem. W ka dym razie, niezale nie od tego, jak bardzo ironicznie postmodernistyczni intelektuali ci traktuj swój przedmiot bada, sami chc by traktowani powa nie. Do tego problemu jeszcze wróc.

Je li wi c chodzi o parodi Sokala, wydaje si, e celem jej nie było jedynie wykazanie niekompetencji redaktorów pewnego czasopisma akademickiego publikuj cego artykuły z zakresu nauk humanistycznych, nie było nim równie, jak zaznacza autor, zdyskredytowania owych nauk jako takich. Nie chodziło tak e o to, jak mo na si domyla, by wykaza, e ich przedstawiciele przewaznie nie s specjalistami w zakresie wyszej matematyki czy fizyki, podobnie jak przedstawiciele nauk cislych zazwyczaj nie s fachowcami od liryki starogreckiej czy filozofii redniowiecznej. We wst pie do *Modnych bzdur* czytamy: „Nie mamy pretensji do przedstawienia ogólnej analizy myli postmodernistycznej; zamiast tego chcemy zwróci uwag na stosunkowo mało znany aspekt tego kierunku w filozofii, jakim jest nadu ywanie poj i terminów zaczerpni tych z matematyki i fizyki”. Owo „nadu ywanie” polega za, po pierwsze, na wykorzystywaniu poj lub koncepcji naukowych, o ktorzych si „ma w najlepszym razie mgliste poj cie [...] bez zwracania uwagi na to, jakie jest rzeczywiste znaczenie u ytych słów”; po drugie, na „przenoszeniu poj z nauk cislych do humanistyki i nauk społecznych bez podania jakiegokolwiek teoretycznego lub empirycznego uzasadnienia”; po trzecie, na „demonstrowaniu powierzchownej erudycji metod bezwstydnego rzucania terminów naukowych w kontek cie, w ktorzym nie maj one adnego znaczenia” w celu „zastraszenia czytelników nie b d cych specjalistami w dziedzinie nauk cislych”. Po czwarte wreszcie, nadu ycia, o jakich pisz autorzy, sprowadzaj si cz sto do „zasypywania” czytelnika zdaniem (b d czym, co je przypomina) całkowicie pozbawionymi sensu. Podsumowuj c, chodzi o wykazanie, e w omawianych fragmentach tekstow postmodernistycznych „gwiazd” nie znajdujemy wiedzy i gł bi, lecz ignorancji, nierzetelno i mylow pusk<sup>5</sup>.

<sup>5</sup> A. Sokal, J. Bricmont: *Modne bzdury*, op. cit., s. 18-20.

Należy tutaj wyraźnie podkreślić, że Sokal i Bricmont nie „czepiają się” pojedynczych słówek czy nawet zdań, lecz analizują te fragmenty tekstów, w których dany autor wyraźnie nawiązuje do pojęć i teorii z dziedziny matematyki bądź fizyki i używa ich jako punktów do wyjaśnienia problemów spoza tych dziedzin, nie tłumacząc przy tym ani celu takiego działania, ani sensu używanych terminów, lecz, przeciwnie, dając liczne dowody na to, że ma niewielkie pojęcie o tym, o czym mówi. Jako przykład takich zabiegów podane są m.in. próby powiązania psychoanalizy z topologią (Jacques Lacan), teorii języka poetyckiego z matematyczną teorią zbiorów (Julia Kristeva) czy łączenie ogólnofilozoficznych rozważań z rachunkiem różniczkowym (Gilles Deleuze)<sup>6</sup>. Działania takie próbuje się usprawiedliwiać, pisząc, że stosowane przykłady zaczerpnięte z nauk ścisłych pełni rolę metafor bądź analogii i mają na celu tylko ułatwić zrozumienie podstawowego przedmiotu badania, trudno jednak się z tym zgodzić. Po pierwsze, z uwagi na dowolność i wręcz niefrasobliwość w stosowaniu pojęć oraz brak ich wyraźnych definicji, wszystko to raczej utrudnia niż ułatwia zrozumienie tego, o co właściwie autorowi chodzi (cóż bowiem wyjaśnienia stwierdzenie, że badana przez psychoanalityka „rozkosz” ma charakter „zwartej przestrzeni”). Po drugie – i to jest najważniejsze – kolosalne błędy merytoryczne, w jakie obfitują cytowane przez Sokala fragmenty sprawiają, że niemożliwością dopatrzenia się w nich sensu zwykle nie wynika stąd, że jest on ukryty pod warstwami głębokich i skomplikowanych rozważań, lecz z faktu, że go tam po prostu nie ma.

**Tolerancja ignorancji.** Zastanówmy się, jak by zareagowano na fizyka, który w naukowym artykule pomieszałby filozoficzne znaczenia pojęć „transcendentny” i „transcendentalny”, na kogo, kto przypisałby pojęcie pozabawionej okien i drzwi monady Spinozie, „chytrość rozumu” Schopenhauerowi a „wola mocy” Kantowi, kto rozprawiałby o Popperowskim *elan vital*, Wittgensteinowskim trzecim wiecie i Derridowskim obrazie nauki jako pola siły? Zauważmy, jak ostro reaguje się na przedstawicieli nauk ścisłych i przyrodniczych wykorzystujących pewne zdobycze nauk humanistycznych czy społecznych w sposób, który wiadczy o jedynie powierzchownej ich znajomości (wspomnijmy choćby o krytyce prac socjologów). Oczywiście autor popełniałby takie błędy również w przypadku powiedzenia, że chodziło mu tylko o analogię czy metaforę, nietrudno jednak wykazać, że po prostu ma nikłe pojęcie o tym, o czym pisze i jedynie popisuje się szczątkową wiedzę uzyskaną po przejrzeniu jakiejś popularnonaukowej książki. I tak jak fizyk czy matematyk zapuszczają się w nieznane mu obszary i notorycznie popełniają błędy kardynalne, tak nie może być inaczej w przypadku

<sup>6</sup> Por. *ibid.*, rozdz. 1,2, 8.

gdy najzwyczajniej w świecie kompromituje się jako uczony, tak samo nie widać powodu, aby wobec filozofów - czy, szerzej, humanistów - stosować taryf ulgową. Je-li Kristeva twierdzi, że pewnik wyboru implikuje „pojcie konstruowalno ci”, je-li Bruno Latour pisze, że teoria względności zajmuje się względnym położeniem, nie zaś ruchem różnych układów odniesienia, piszcie na dodatek o trzech, a nie dwóch takich układach, je-li Paul Virilio notorycznie miesza pojcie prędkości z pojciem przyspieszenia, to dlaczego traktować ich inaczej niż np. kogoś, kto myli Koło Wiedzy z kołem hermeneutycznym, a Kanta z Comtem? Trudno uzasadnić w tym wypadku stosowanie odmiennych miar do przedstawicieli nauk ścisłych i humanistycznych, chyba że uznamy, iż podstawowa dzielnica jeńców polega na tym, że w tych pierwszych należy być ścisłym, precyzyjnym i posiadać głęboką wiedzę o przedmiocie rozważań, w drugich zaś można do woli pisać, co komu przyjdzie do głowy, nie troszcząc się o sens i konsekwencje. Należy tu raz jeszcze wyraźnie podkreślić, że nie chodzi o sporadyczne pomyłki, drobne lapsusy, które zdarzają się w niemal wszystkich pracach, lecz o stałe i, jak można się domyślać, celowe wprowadzanie czytelników w błąd. Nikt, kto pisze prace z zakresu filozofii, psychoanalizy czy ogólniej - nauk humanistycznych - nie musi sięgać po teorie matematyczne czy fizyczne, podobnie jak mikrofizyk w artykułach ze swojej dziedziny nie musi powoływać się na klasyczną ontologię czy psychologię głębi. Skoro jednak odwołanie takie zostaje dokonane, powinno ono spełniać pewne kryteria, gdy ewidentne merytoryczne błędy i nonsensy sprawiają, że nasza *science* nieuchronnie staje się *fiction*.

Zdaniem Sokala i Bricmonta, stało się niejako metodycznie tego rodzaju nadużytkowanie i podejrzewa się, że stanowi one istotny element „warsztatu pisarskiego” omawianych myślicieli. Cel takich zabiegów, według autorów *Modnych bzdur*, jest oczywisty: chodzi o to, aby na wszelkie możliwe sposoby „unaukowi” własne, czasem wysoce dyskusyjne pomysły, starać się zaimponować czytelnikom rzekomo erudycji. Proceder ten jest możliwy dlatego, że wśród wielu humanistów nadal panuje przekonanie, że to, co niejasne i niezrozumiałe, staje się automatycznie głębsze, a ponieważ wywody zahaczają o specjalistyczne problemy z zakresu matematyki czy fizyki są najprawdopodobniej nie do końca czytelne dla przeciętnego obywatela *republique des lettres*, dlatego te błądzące podchodził on do nich z pewnym lękiem, starać się mimo wszystko doszukać w nich sensu, niezależnie od tego, jak jałowe miałyby się okazać poszukiwania. Je-li jednak uważa się nie przyjrzy się tego rodzaju tekstom - tak, jak zrobił to Sokal - okaże się, że np. pompatyczne kółka i słowa Baudrillarda czy Virilia mogą być interesujące co najmniej od strony formalnej (kto wie, by może autorzy tworzą je za pomocą metod podobnych do tych, jakie stosował Ray-

mond Roussell), od strony tre ci bowiem nie wnosz nic. Feministyczne opowie ci o alternatywnej kobiecej matematyce i fizyce s wiadectwem tak g ł bokiej ignorancji, po ł czonej na dodatek z niezrozumia ł pewno ci siebie, e budz raczej lito ni miech: w porównaniu z nimi argumenty kreacjonistycznych przeciwników ewolucji brzmi nadzwyczaj naukowo i rzetelnie. Mo na by przywoływa kolejne takie przykłady z ró nych obszarów nauk humanistycznych, przykłady, którymi dałoby si zapełni ksi eczk o dziesi razy wi kszej obj to ci ni ta, któr napisali Sokal z Bricmontem. Obfituj w nie zwłaszcza prace tworzone w ramach mno cych si w ostatnich latach przeró nych interdyscyplinarnych kierunków przypominaj cych owe „football studies”, o których z ironi pisał R. Scruton. Jednak e nawet to, co zebrali autorzy *Modnych bzdur*, wskazuje na pewien kryzys edukacji humanistycznej (doskonale opisał go przed laty Allan Bloom) i degeneracj cz ci nauk społecznych przybieraj cych - jak si wyraził Stanisław Andreski - posta „czarnoksi stwa”.

Postmodernistyczny my liciel mo e w tym wypadku odrzec, e racjonalno naukowa nie jest jedyn obowi zuj c i on na przykład posługuje si innymi kryteriami sensu i prawdy, a w zwi zku z tym taka ocena jego intelektualnych wytworów jak formu łuj Sokal i Bricmont jest nie tylko niesprawiedliwa, ale i nieuzasadniona, stanowi bowiem - i tu pi łeczka zostaje odrzucona - wiadectwo ich ignorancji i niedostrzegania zło ono ci wiata, pluralizmu dyskursów etc. Co wi cej, jest przejawem intelektualnego imperializmu, d cego do przywrócenia epoki „wielkich narracji”, któr , jak wiemy z pism samych postmodernistów, nale y uzna za przewyci on i zasługuj c co najwy ej na szczytne miejsce na mietniku historii. Z tego rodzaju obron specyfiki i swoisto ci nauk społecznych czy humanistycznych, które rzekomo stosuj alternatywn racjonalno , mo na si cz sto spotka , problem jednak polega na tym, o czym była ju mowa, e same te twierdzenia stosuj si do regu ł, których istnieniu przecz , ich autorzy za , g łosz c bankructwo nauki uprawianej w duchu „pozytywizmu” czy „kartezjanizmu”, w przewa aj cej cz ci pełni funkcj typowych pracowników naukowych - bior udział w dyskusjach i konferencjach, publikuj artykuły i ksi ki, zdobywaj kolejne stopnie naukowe etc., potwierdzaj c swoj praktyk to, co w teorii neguj .

Je li bowiem kto twierdzi np., e nauka racjonalna to tylko pewien dyskurs, jeden z wielu, podobny do magii, który stanowi jak zamkni t gr j zykow funkcjonuj c wedł ug wewn trznych regu ł nie maj cych w adnym razie charakteru absolutnego, to mimo wszystko wypowiada pewn te z , w tym wypadku zupełnie zrozumia ł , której nale ałoby dowie (przy-

<sup>7</sup> Por. A. Bloom: *Umysł zamkni ty*, tłum. T. Biedro . Pozna 1997; S. Andreski: *Czarnoksi stwo w naukach społecznych*, tłum. S. Andreski, J. Sowa. Warszawa 2002.

pomnijmy sobie, ile wysiłku włożył biskup Berkeley w udowodnienie z pozorów absurdalnej tezy *esse est percipi*). Je li wypowiada j bez adnego do-  
 wodu, nie podaj c adnych argumentów, to równie dobrze mógłby powie-  
 dzie , e „człowiek jest czajnikiem”, e „przybli anie si jest oddalaniem”  
 albo e „w miar post pów socjalizmu walka klasowa zaostrza si ”. Nie  
 wystarczy autorytarnie orzec, e wypowiedzi te maj charakter „dialektycz-  
 ny”, jak to czasem si mówi, nie wystarczy te zapewnia , e s one zro-  
 zumiałe, ale dopiero w szerszym kontek cie. Je li twierdzi si , e filozofia  
 jest literatur , b d e literatura jest filozofi , e nie ma ró nicy mi dzy  
 zdaniem i o faktach i o warto ciach, e nauka jest form patriarchalnego  
 ucisku lub jest rodzajem magii, e nie istnieje jedna „Prawda” lecz wiele  
 „prawd” etc., to wypowiedzi te sprawiaj wra enie klasycznych zda o fak-  
 tach. By mo e s nieprawdziwe, wewn trznie sprzeczne, le sformułowa-  
 ne, ale nie wida powodu, aby traktowa je inaczej ni zdanie „hrabina wysz-  
 ła o szóstej”, chyba e uprzedzi si wcze niej czytelnika, e pełni one jak  
 now specyficzn funkcj (trzeba by wyja ni dokładnie jak ), albo e u te  
 w nich słowa maj inne znaczenie ni im si zwykle przypisuje (znów na-  
 le ałoby to doprecyzowa ).

**Polityczne ambicje i autorytet uczonego.** Zauwa my, e teksty postmo-  
 dernistyczne - zarówno te, które omawia Sokal, jak i te, które co prawda nie  
 nawi zuj do nauk ciłych, ale przewa nie s równie „enigmatyczne”-  
 dotycz pewnych przedmiotów: społecze stwa, ustrojów politycznych, eko-  
 nomii, techniki, a tak e ksi ek, dzieł sztuki czy wreszcie samego j zyka.  
 W wielu z nich te znajdujemy pozory argumentacji, sporo krytycyzmu  
 i demaskatorskiej pasji, atak na ro nego rodzaju „centryzmy”, pełni ce rol  
 czarnych charakterów, a tak e słowa poparcia dla wyzwolenia, emancypa-  
 cji, tolerancji etc. Wydaje si zatem, e bior c pod uwag ow powag , z jak  
 traktuj własne wypowiedzi ich autorzy, oraz fakt, i wielokrotnie powtarza-  
 j je, niczym pewne prawdy - nie mamy tu do czynienia z jakimi współczes-  
 nymi wariantami Bretonowskiej *Rozpuszczalnej ryby* czy dadaistycznych  
 wygłupów, które opieraj si przede wszystkim na szokowaniu i jednorazo-  
 wo ci (wystawiona po raz kolejny *Fontanna* Duchampa przestaje mie-  
 szy ). Chodzi raczej o celowe zniekształcanie prostych, czasem banalnych,  
 a czasem fałszywych wypowiedzi do tego stopnia, e staj si niezrozumia-  
 łe albo bezsensowne. Mo na bowiem, zamiast „hrabina wyszła o osiemnas-  
 tej” napisa „uwikłane w dialektyczny konflikt mi dzy reakcyjn egzysten-  
 cji a post pow kobieco ci monadyczne *ego-cogito* wraz ze swoj mate-  
 rialn podstaw dokonało samotranscendencji w chwili, gdy jedna czwarta  
 cyklu doszła do kresu swego trzeciego powtórzenia” - tylko po co?

Wydaje si , e aby lepiej zrozumie całe to popisywanie si *quasi-ba-ro-*  
 kow składni i znajomo ci słownika wyrazów obcych oraz wynikaj ce

st d ra ce bł dy merytoryczne, gramatyczne i logiczne, nale ałoby zwróci uwag na cel, jaki bardzo cz sto, *implicite* b d *explicite*, stawiaj sobie pisarze zaliczani do szerokiego nurtu postmodernistycznego. Jak ju wspomniałem, nietrudno zauwa y , e przewa aj ca cz tekstów, zwłaszcza produkowanych w ramach wspomnianych kierunków interdyscyplunarnych (wszelkiego rodzaju *cultural studies*, *gender studies* etc.), po wi cona jest zjawiskom i procesom politycznym, społecznym b d kulturowym. Przy tym zadaniem ich, s dz c po deklaracjach autorów, ma by nie tylko charakterystyka istniej cego stanu rzeczy, lecz przede wszystkim jego krytyka. Poniewa wi kszo aktywistów wspomnianego nurtu lokuje swe polityczne sympatie na lewicy, nietrudno zrozumie , dlaczego - zgodnie z Marksowskim zaleceniem - pragn oni nie tylko opisa wiat, ale przede wszystkim go zmienia . Sam opis, a zwłaszcza opis d cy do obiektywno ci i bezstronno ci, uznawany jest za „reakcyjny” czy wr cz „totalitarny” (tego rodzaju zarzuty wysuwał ju przeciw Hegłowi Engels, potem naraził si na nie Talcott Parsons). Post powy my licieł powinien zatem cechowa si podejrzliwo ci , powinien dokonywa krytyki istniej cego stanu rzeczy, odkrywa przed lud mi ukryte mechanizmy ich zachowa etc., a wszystko to w imi budowy lepszego wiata (takie zalecenia mo na znale np. u M. Horkheimera, jednego z zało ycieli szkoły frankfurckiej).

Z tej perspektyw prace naukowe b dzie si pisa przede wszystkim po to, by pokaza , e wiat nie jest taki, jaki powinien by , e społecze stwo urz dzone jest niewła ciwie, e ludzie my l i zachowuj si nieodpowiednio, e prawda le y gdzie indziej b d jej nie ma, e nasza wiedza jest tylko zbiorem stereotypów uwikłanych w stosunki pracy, władzy etc. Zale nie od wyrafinowania autorów oraz od tego, po jakie rodki stylistyczne si gaj i sk d czerpi argumenty, otrzymujemy albo *quasi-gnostycki* lament nad wiatem rz dzonym przez siły ciemno ci, albo polityczny manifest z niewyszukan retoryk walki klas, płci, post pu i reakcji, albo te co w rodzaju umoralniaj cej powie ci zaanga owanej (cz sto zreszt udaje si z powodzeniem wszystkie te trzy style poł czy ). Problem polega jednak na tym, e zamiast jasno przedstawi polityczne sympatie czy propozycje reform społecze stwa, popieraj c je argumentami, z którymi nast pnie mo na by dyskutowa , wykłada si je *ex cathedra*, cz sto w wysoce niejednoznacznej b d niejasnej postaci, usiłuj c uprawomocni je za pomoc tego, co J. Bocheński nazwał nadu yciem autorytetu. Inaczej mówi c, próbuje si przedstawi własne polityczne pogl dy jako wynik naukowych, teoretycznych docieka , jako prawdy konieczne, z którymi nikt rozs dny nie polemizuje. I st d wła nie bierze si owa onglerka poj ciami, których sensu cz sto si nie rozumie, st d celowa niejasno i wieloznaczno sformułowa uniemoliwiaj ca dyskusj , st d te wszystkie zb dne popisy powierzchown erudy-



cy. Jak powiedział David Simmons, „brak jasno ci czasem służy za narzędzie do ukrywania faktu, a do podanych wniosków nie można dojść drogą logicznego rozumowania”<sup>8</sup>.

Problem w tym, że owe teoretyczne dywagacje w ten sposób nie dowodzą słuszności proponowanych praktycznych politycznych rozwiązań. Powodem jest nie tylko ignorancja autorów, o której pisał Sokal, czy też nagminne mieszanie zdań o faktach ze zdaniem o wartościach (co cechuje całą tradycję marksistowską, ze szkół frankfurckich włącznie), ale przede wszystkim to, że - jak pokazał wspomniany już Bocheński - w dziedzinie polityki nie ma autorytetów epistemicznych i teoretyczna wiedza z zakresu matematyki, fizyki czy językoznawstwa w ten sposób nie uprawomocnia zdań wypowiadanych o tym, co należałoby zrobić z praktycznego, politycznego punktu widzenia. Byłoby już Marks był tego wiadomo, próbując wreszcie doktrynę walki klasowej i nieuchronnej rewolucji pseudoeconomicznymi rozwiązaniami, licząc, że autorytet ekonomii jako wiedzy zachęcającej o matematyk przesłoni niedostatki politycznej utopii. Byłoby już i to wiadomo feministki w rodzaju Luce Irigaray, piszące o alternatywnej kobiecej matematyce czy fizyce, a także inni myśliciele, którzy się gają do coraz to innych dziedzin - językoznawstwa strukturalnego, teorii gier, mechaniki kwantowej *etc.* - starają się nadać swojemu politycznemu poglądom rangę teorii naukowej.

**Jak by dobrym postmodernist ?** Oczywiście nie wszystkie teksty należą do omawianego tu nurtu myślenia mającego ukryty cel polityczny, jednakże niemal wszystkie stosują podobną strategię uprawomocniania czasem banalnych, czasem dziwnych, a czasem nonsensownych twierdzeń. Zamiast przedstawić argumenty, epatuje się technicznym bądź pompatycznym stylem przeładowanym neologizmami i pojęciami czerpanymi z różnych dziedzin, mającymi wiać o gruntownej interdyscyplinarnej wiedzy autora. Recepta na napisanie takiego tekstu jest prosta: z jednej strony należy czytelnikowi dowiedzieć, że obcuje on z dziełem dogłębnie naukowym i w tym celu właściwie stosuje się bez powodu zawiłą składnię, język pełen specjalistycznych pojęć czerpanych czasem na chybił trafił z najróżniejszych dziedzin - z drugiej natomiast, po to by go zbyt nie zmęczył, nie otumanił i ostatecznie nie zniechęcił, co jakiś czas trzeba wpleść w wywód jakieś w miarę jasne zdanie, dzięki czemu po długich chwilach zmagania się z postmodernistycznym nowomowem znów czuje się on panem sytuacji pewnym swoich intelektualnych możliwości. Przeczytawszy taką pracę, dochodzi on zwykle do wniosku, że co nieco już zrozumiał, a pozostał czysto zapewne pojmie po kolejnej wnikliwej lekturze. Byłoby już to właściwie nie jest przyczyn

<sup>8</sup> D. Simmons: *Ideals and Dogma*. Third Avenue Press, Northolt, U.K. 1980, cyt. za: R. Conquest: *Uwagi o spustoszonej stuleciu*, tłum. T. Biero. Poznań 2002, s. 70.

tego, a w pismach uchodzących za naukowe znajdujemy tak obfite egzegezy tekstów, które z poznawczego punktu widzenia mają mniej wartości, jak gnostyczne mitologie, gdzie mianem jest rodkiem mającym wzbudzić u niewtajemniczonych szacunek do jakiejś wyświeconej drogi, w której posiadaniu jest autor.

Postmodernista może jeszcze raz odpowiedzieć, że teksty z zakresu nauk humanistycznych nie muszą spełniać kryteriów stosowanych wobec tekstów pochodzących z innych nauk, gdyż ich funkcja jest odmienna z uwagi na specyfikę przedmiotu, ze względu na potrzebę rozumienia, a nie wyjaśniania *etc.* Można się z tym zgodzić, ale pod warunkiem uzyskania odpowiedzi na pytanie, jaka to właściwie ma być funkcja. Jeżeli księka z dziedziny, powiedzmy, zoologii czy materiałoznawstwa przynosi pewne informacje, a księka w rodzaju wspomnianego przez Sokala *Kompleksu Portnoya* ma bawić, sprawia przyjemność estetyczną, czy nawet pobudza do rozmyślań, to w takim razie jaką funkcję pełni teksty, o których tu mówimy? Jak je powinniśmy traktować, jak czytać?

**Carnap redivivus?** Wydaje się, że w tym wypadku mogłyby się okazać użyteczne pewne elementy Carnapowskiej krytyki języka filozoficznego (niezależnie od wad całego neopozytywistycznego projektu). Tekst pisany czy mówiony może spełniać, najogólniej rzecz biorąc, dwie funkcje: albo poznawczą, informatywną (czy asertywną, jak nazywa ją Carnap), albo ekspresywną i impresywną. W pierwszym wypadku dostarczamy pewnych informacji, które można zweryfikować empirycznie bądź racjonalnie (np. czy zdania są zgodne z faktami, czy nie są wewnętrżnie sprzeczne, czy wnioski wynikają z przesłanek *etc.*), w drugim wypadku próbujemy wyrazić pewne własne uczucia, a tak to wywołuje podobne u czytelnika, w związku z czym sprawdzanie takich wypowiedzi pod względem logicznej spójności czy ich empiryczna weryfikacja jest zupełnie nie na miejscu (bo kiedy poeta pisze, że „Frun kwiaty nietoperze/ I motyle elektryczne!”, to nie chce nam opisać jakiegoś stanu rzeczy, lecz co najwyżej oznajmić, że jest mu np. smutno). Być może więc należałoby traktować teksty w rodzaju tych, które omawia Sokal, właściwie jako wyraz pewnych uczuć i nie przyjmować za wartych w nich wypowiedzi literalnie, lecz spróbować się w nie „wczuwać” (można by np. zastosować się do rady podanej przez Th. S. Kuhna: „To, co musisz zrobić z tym pisarstwem, to po prostu przeczytać to szybko, nie myśleć za wiele i pozwolić, żeby to przez ciebie przepłynęło. Potem, kiedy się zatrzymasz, zobaczysz, co to w tobie spowodowało”). Od biedy takie rozwiązanie można przyjąć, powstaje jednak wówczas następujący problem: co zrobić ze wszystkimi tymi wypowiedziami, w których krytykuje

<sup>9</sup> G. Borradori: *Rozmowy amerykańskie*, tłum. K. Brzechczyn. Poznań 1999, s. 186.

si rzeczywiście , nauk i technik , obna a rozmaite represje, zniewolenia, domaga si emancypacji *etc.*? Mo na podchodzi np. do feministycznych tekstów jako do swoistej poezji, czy jednak same autorki byłyby z tego zadowolone? Zgodnie z propozycj Rorty’ego powinni my potraktowa filozofi (jego równie ?) jako tylko literatur , ale w takiej sytuacji samo zdanie zawieraj ce tak propozycj nie jest bardziej powa ne ni pierwsze z brzegu zdanie z Harlequina, czemu wi c dawa mu posłuch?

Wygl da na to, e Carnapowskie rozwi zanie mogłoby by słuszne z punktu widzenia czytelników, zwłaszcza tych, którzy nabawili si kompleksów, szukaj c tre ci i sensu tam, gdzie go nie ma, istnieje jednak du e prawdopodobie stwo, e zaoponowaliby sami autorzy. W ko cu, jak wspomniałem, wi kszo z nich to pracownicy naukowci, akademicy zatrudnieni w ró nego rodzaju placówkach dydaktycznych i badawczych. Prowadz wykłady, pisz artykuły, uczestnicz w konferencjach, komentuj teksty, interpretuj je, sami s komentowani... Stoj c przed wyborem, który z członów alternatywy by wybrali? Piszemy fikcje, czy bzdury?